

Kradzież z Państwowego Muzeum Zamkowego w Pszczynie.



Jesienią 1991 r. muzeum nosiło inną niż obecnie nazwę – Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie. Mieściło się w zbudowanym w latach 1743-67 pałacu, który został, wraz z gotyckimi pozostałościami pierwotnego zamku, gruntownie

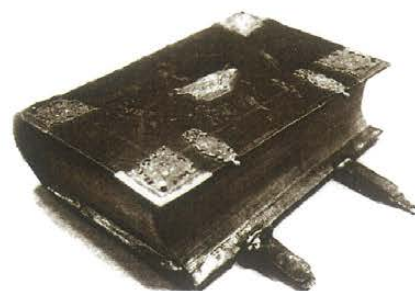
przebudowany przez francuskiego architekta A.H. Destailleura w latach siedemdziesiątych XIX wieku. Na muzeum obiekt został przeznaczony w roku 1945. Pierwsi zwiedzający mieli okazję poznać jego sale już w 1946 r. „We wnętrzach w różnych stylach od renesansu do XX wieku rozmieszczone są meble – zabytkowe, oryginalne i imitacje z XIX i XX wieku, obrazy rzeźby, gobeliny i tkaniny, ceramika i szkło, złotnictwo, wyroby metalowe oraz broń, zbroje i przedmioty związane z uzbrojeniem”¹. Na początku lat 90. zbiory muzeum nie odbiegały od opisu zamieszczonego w przewodniku Stanisława Lorentza. Zanim przejdę do samej kradzieży, chciałbym kilka zdań poświęcić wrażeniom z pierwszego kontaktu z muzeum i z problemami zapewnienia bezpieczeństwa jego zbiorom. Pierwsza wizyta (w 1989 r.) wiązała się z informacją o bardzo oryginalnym systemie alarmowym chroniącym muzeum. I rzeczywiście, nie poculiśmy się zawiedzeni. Czujki były doskonale zamaskowane – wyglądały jak obudowy głośników. Problem w tym, że od początku nigdy prawidłowo nie działały. Centrala systemu zrobiła nie mniejsze wrażenie niż czujki – bardzo duże biurko, na nim sto kilkadziesiąt ręcznych przełączników i tyle samo żarówek kontrolnych. Rezerwowe zasilanie tego „patentu” zajmowało całą ścianę pomieszczenia. W latach 50. pewnie nikogo by nie dziwiła opisywana technika, ale w dobie tranzystorów i mikroprocesorów?! Twórca systemu, inżynier z Krakowa twierdził, że nie ma zaufania do dostępnych na rynku urządzeń. W przeciwieństwie do nich, jego rozwiązanie miało być niezawodne. Niestety, „radosną twórczość”, bliższą tematyce końca lat czterdziestych niż osiemdziesiątych, trzeba było przerwać. Muzeum rozpoczęło całkowitą wymianę systemu. Jedyną pozostałością z tamtych dni są czujki i ich obudowy znajdujące się w podręcznym muzeum technicznych środków zabezpieczeń w Ośrodku Ochrony i Konserwacji Zabytków (żałuję, że konsola sterująca była za duża, by ją przetransportować do War-

szawy). Rok 1991 zastał muzeum jeszcze w trakcie modernizacji. Pomimo starań dyrektora w budżecie województwa ciągle nie można było znaleźć środków na dokończenie inwestycji (w kilka tygodni po kradzieży, środki, których tak długo brakowało, znalazły się i modernizację systemu zakończono). W końcu roku 1991 muzeum było jednak bezbronne. Przy tak rozległym i skomplikowanym architektonicznie budynku, bez wspomaganie profesjonalnego systemu sygnalizacji włamania, czuwający dozorca nie był w stanie zapobiec temu, co się wydarzyło listopadowej nocy.

Kradzież z muzeum w Pszczynie jest pouczająca z kilku względów. Po pierwsze – potwierdziła, że zabezpieczenie dużego muzeum jest możliwe tylko wtedy, gdy wszystkie elementy składające się na system ochrony są dobrze przygotowane. Po drugie – to jedna z tych nielicznych kradzieży, o których można powiedzieć, że była zrealizowana na zamówienie. Był to również ten rzadki przypadek, który dobitnie ukazał, jak szybko skradzione przedmioty mogą opuszczać granice państwa.

Włamania i kradzieży do muzeum dokonano w nocy z 26 na 27 listopada 1991 r. Sprawcy dostali się na balkon pierwszego piętra, następnie z dolnej części okna usunęli szybę.

Otwór, jaki powstał po wyjęciu szyby, umożliwiał przejście nawet dobrze zbudowanej osobie. Podczas nocnego obchodu dozorca nic nie zauważył. Otwór w oknie skutecznie zasłaniała balustrada balkonu. Złodzieje, przez nikogo nie niepokojeni, przeszli przez sale pierwszego piętra. Przed nimi stało otworem całe muzeum. Praktycznie mogli zabrać każdy przedmiot, który byliby w stanie unieść. Okoliczności kradzieży potwierdziły wcześniejsze opinie – duży obiekt, który nawet jest całodobowo nadzorowany, bez technicznego wsparcia w postaci systemu sygnalizacji włamania i napadu nie jest w stanie obronić się przed dobrze przygotowanymi przestępcami. Włamanie do pszczyńskiego muzeum potwierdziło również, że możliwe jest trafne przewidywanie dróg działania przestępców. W czasie wcześniej opisanego pobytu w muzeum eksperci z Ośrodka oceniali prawdopodobne drogi włamania. Ta, którą wybrali kilka lat później przestępcy, była również brana pod uwagę (podobnie było w przypadku kradzieży z Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie²). Wróćmy do przestępców. Byli wewnątrz pałacu,



spokojnie przechodzili przez kolejne sale. Cel mieli wyraźnie określony – pięć porcelanowych figurek należących do tzw. małej kapeli. Twórcą figurek był J.J.Käondler, saksoński rzeźbiarz, projektant figurek i serwisów dla manufaktury w Miśni. Pszczyńskie figurki należały do drugiej wersji opracowanej w 1765 r. Oprócz porcelanowych figurek skradli również tzw. Biblię weimarską (Kurfürstenbibel), wydaną w 1708 r. w Norymberdze przez oficynę rodziny Endter. Łupy zapakowali do przyniesionych ze sobą torb wypełnionych trocinami

Z oceny całości sprawy można wywnioskować, że głównym celem przestępców były porcelanowe figurki. Biblia została zabrana tylko dlatego, że stała na stojaku koło kredensu, z którego zabrano figurki. Sądzę, że stanowiła dodatkowy, nie planowany łup. Była to zatem typowa kradzież na zamówienie. Dziennikarze, opisując różne przypadki kradzieży, często używają określenia kradzież na zamówienie, podczas gdy okoliczności ich popełnienia wcale na to nie wskazują. W przypadku Pszczyny oznaki działania na zamówienie wystąpiły bardzo wyraźnie. Czas, w jakim przebywali wewnątrz muzeum przestępcy, pozwalał na wyniesienie znacznie większej liczby dzieł sztuki. Nic jednak więcej nie zginęło. Przestępcy byli przygotowani do transportu kruchych, porcelanowych figurek (torba wypełniona trocinami).

Dla służb ochrony muzeum noc minęła spokojnie. Kradzież została wykryta przez pracowników merytorycznych dopiero w czasie kontroli stanu ekspozycji, o czym powiadomiono niezwłocznie policję. Oględziny miejsca zdarzenia i przesłuchania personelu muzeum trwały wiele godzin. W tym czasie, skradzionych przedmiotów (a na pewno jednego – „Biblii weimarskiej”) nie było już w Polsce. 27 listopada 1991 roku, po południu skradziona w Pszczynie księga została odebrana przemytnikom przez niemieckie służby celne na przejściu granicznym między Czechami, a Niemcami.

Przypadek pszczyński jest pouczający, bowiem pokazuje z jaką szybkością mogą działać przestępcy. Jeszcze trwały w muzeum działania organów ścigania, a już skradzionych muzealiów nie było w kraju. Sprawa ta stawia również pod znakiem zapytania istniejącą organizację informacji o skradzionych dziełach sztuki, a zwłaszcza szybkość powiadamiania służb celnych i granicznych.

Na granicy niemieckie służby celne zwróciły uwagę na nerwowe zachowanie podróżujących

Polaków. Zdecydowano się na sprawdzenie samochodu, podejrzewając, że mogą być nielegalnie przewożone wyroby tytoniowe i alkohol. W bagażniku, zamiast typowej kontrabandy

znaleziono cenną księgę. Nie wzbudziłyby pewnie ona zainteresowania celników gdyby nie to, że było to wydanie niemieckie. W celu rutynowego sprawdzenia pochodzenia, czy czasem nie jest ona poszukiwana w Niemczech, Biblia została zatrzymana w depozycie do wyjaśnienia, a „turystom” wydano kwit na okaziciela, zapewniając, że książka zostanie im zwrócona. Po odbiór oczywiście nikt się nigdy nie zgłosił. Przez kilka tygodni trwało rutynowe sprawdzenie czy książka nie jest poszukiwana w Niemczech. Jednostki policji kryminalnej meldowały, że nikt takiej książki nie utracił. Przełom nastąpił po kilku miesiącach, kiedy do policji niemieckiej dotarły informacje z polskiego Krajowego Biura INTERPOL-u. Wówczas skojarzono wcześniejsze poszukiwania prowadzone przez służby celne z aktualnym listem gończym. Od tej chwili sprawa potoczyła się już stosunkowo szybko. Trzy miesiące trwały jeszcze formalności i korespondencja pomiędzy różnymi urzędami niemieckimi, a stroną polską i „Biblia weimarska” szczęśliwie wróciła do muzeum. Los porcelanowych figurek nie jest znany. Nie można wykluczyć, że zostały wprowadzone na międzynarodowy rynek handlu antykami. Takie przypadki nie należą wcale do rzadkości. Ponieważ pozytywne zakończenie dotyczy tylko części skradzionych przedmiotów, pozostaje pewien niedosyt. Gdyby w Niemczech obowiązywały inne przepisy i w kwitach depozytowych konieczne byłoby odnotowanie danych osoby, na którą są wystawiane, być może przestępcy byliby zatrzymani, a wszystkie muzealia odzyskane. Nie powinniśmy jednak użalać się nad lukami w przepisach niemieckich. Na swoim własnym „podwórku” mamy znacznie więcej do zrobienia.

Piotr Ogrodzki



¹ Stanisław Lorentz, „Przewodnik po muzeach i zbiorach w Polsce”, Wydawnictwo Interpress, Warszawa 1971, str. 203-204.

² Kradzież z Państwowego Muzeum Etnograficznego zostanie opisana odrębnie.